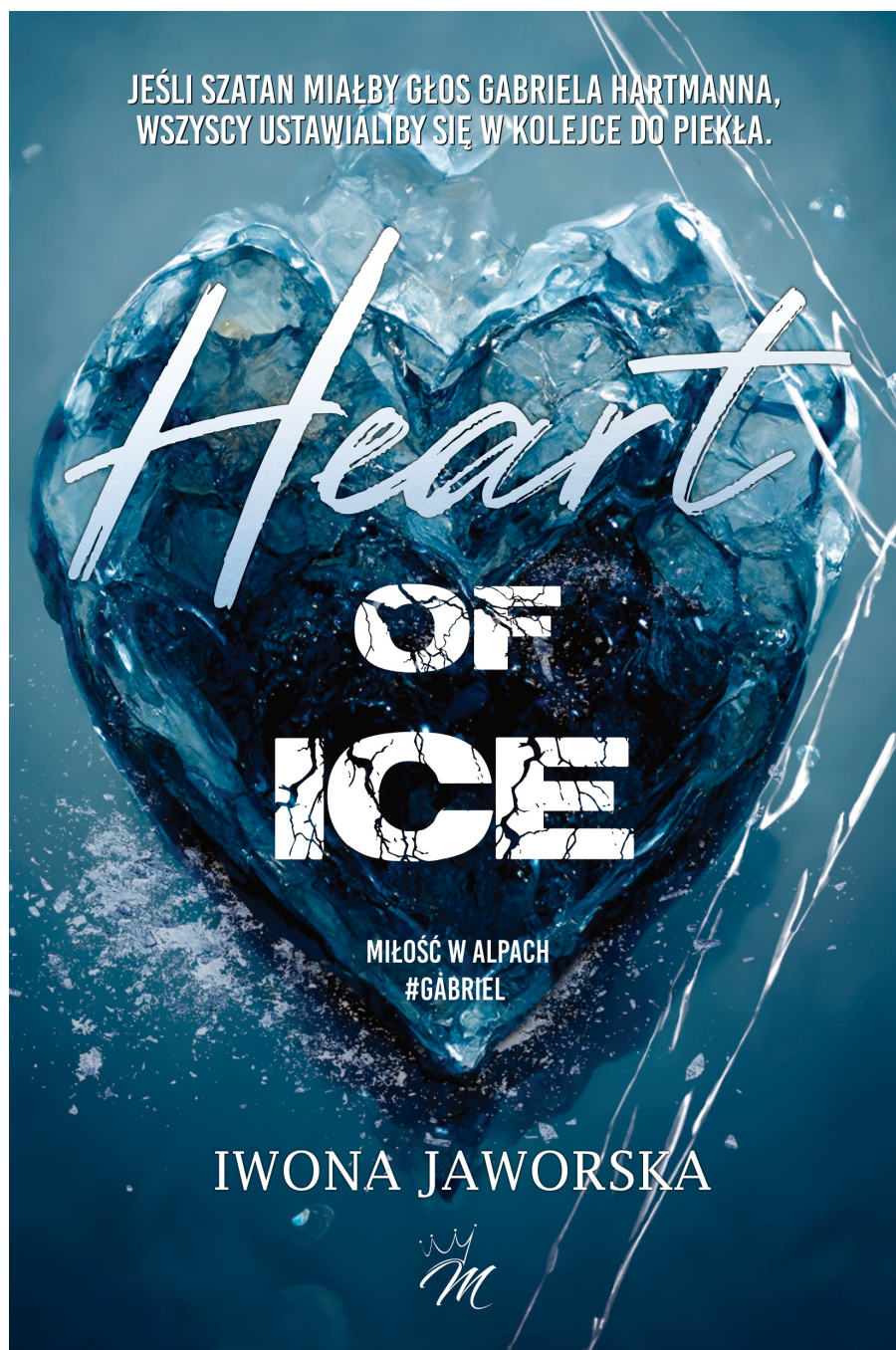


# OKŁADKA



# COPYRIGHT @ 2024

**Iwona Jaworska**

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, elektroniczne przetwarzanie oraz przesyłanie zawartości w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wszelkie rozpowszechnianie fragmentów książki w całości lub w części bez zgody autora powoduje naruszenie praw autorskich.

**Redakcja:**

Barbara Wrona  
tekstnanowo.pl

**Korekta:**

Urszula Mirek

**Skład i łamanie tekstu:**

K&K DESIGNER

**Projekt okładki:**

K&K DESIGNER

**Zdjęcie na okładce:**

Shutterstock.com

**Wydawnictwo Moje**

[www.mojewydawnictwo.pl](http://www.mojewydawnictwo.pl)

[wspolpraca@mojewydawnictwo.pl](mailto:wspolpraca@mojewydawnictwo.pl)

Numer ISBN: 978-83-68147-04-9

# OD AUTORKI

*Dla wszystkich dziewczyn,  
które uważają,  
że nikt nigdy nie pokocha  
ich największej wady*

Schwarzzimmer, gdzie toczy się akcja powieści, nie istnieje.  
Wioska została wymyślona na potrzeby tej historii,  
by ukształtować ją oraz jej mieszkańców dokładnie tak,  
jak chciałam.

Życzę Wam przyjemnej lektury!



*Honor Jankowska*

# JEDEN

## Gabriel

Budzę się. Otwieram oczy, ale nadal otacza mnie ciemność. Ta, którą znam już niemal na pamięć. Która wita mnie i utula do snu od pieprzonego nie wiadomo ile, bo dawno straciłem już rachubę. Tu każda sekunda wygląda tak samo.

Każdy atom tej atramentowej czerni dusi i przytłacza mnie w ten sam bezlitosny sposób. Nie mogę jej już znieść – muszę uciec, wyrwać się z jej miażdżących objęć, więc zrywam się do biegu. Moje ciało jest ciężkie i czuję się, jakbym miał na sobie ołowianą kamizelkę, lecz to jeszcze mocniej mnie motywuje. Przecież te niezmierzone odmęty muszą mieć jakiś kres. Wmawiam sobie, że jeśli się nie poddam, natrafię w końcu na jakąś przepaść, która zakończy ten koszmar raz na zawsze.

Czuję, że się poruszam, choć obraz wokół mnie się nie zmienia. Otula mnie ta sama próżnia. Bez zapachów, smaków, barw. Wciąż tak samo głucha, pusta i bezdenna. Równie martwa co moje serce. Prę naprzód z coraz większą zaciekłością.

Nie wiem, ile czasu mija, nim mięśnie nóg zaczynają palić mnie żywym ogniem, a płuca pieką, jakbym połknął żrący kwas. Puls dudni mi w skroniach, po czole spływa pot, czuję, jak moje ciało zaczyna drżeć z wysiłku, odmawiając dalszej współpracy. Zmęczenie osiąga poziom krytyczny, chce mi się pić i wymiotować jednocześnie. Mimowolnie zmniejszam tempo i wtedy to się dzieje...

Na moim ramieniu pojawia się coś, co w okamgnieniu zatrzymuje mnie skuteczniej niż betonowa ściana. Czyjś dotyk. Jakaś ciepła dłoń zaciska się wokół mojego przedramienia w delikatny sposób, lecz ja odczuwam to z mocą wybuchu bomby atomowej. Powietrze nieruchomieje, czas przestaje płynąć, a ja – oddychać. Powoli odwracam głowę, przepelniony desperacką nadzieją na zobaczenie ludzkiej twarzy, lecz moje oczy napotykalają ten sam rozpaczliwy obraz co zawsze – czarną, bezbrzeżną nicość.

Zaraz potem znika dotyk. Ulatnia się jak statek widmo, zostawiając po sobie jedynie mgliste wspomnienie.

Nie!

To nie mogło być jedynie wytworem mojej wyobraźni!

Z dzikim szaleństwem mieszającym mi zmysły zaczynam wymachiwać rękami na oślep, próbując uchwycić tego kogoś, to coś, czymkolwiek to było! Odwracam się, odbiegam, wracam. Znów gnam przed siebie, zatrzymuję się, cofam. Moje ręce

badają każdy skrawek pustkowiec czerni, by ostatecznie pogodzić się z tym, że to na nic. Mroczna otchłań trzyma w swych mackach jedynie mnie, i nic nie jest w stanie mnie z niej wyzwolić.

Padam bez sił na kolana i wczepiam ręce we włosy. Szarpnię je mocno owładnięty histerią, gorączką, psychozą. Paranoja wypełnia mój umysł, rozplenia się, wsiąka i przejmuje kontrolę nad każdą jego częścią; jest nie do okiełznania – jak plemię barbarzyńców plądrujące wioskę. Zaczynam wrzeszczeć, ale ciemność pochłania każdy jeden dźwięk, jaki wydobywa się z moich ust. Chcę coś rozwalić, uderzyć, roznieść w drobny mak! Chcę przestać oddychać, skończyć ze sobą, uwolnić się z tego horroru, lecz w płucach uparcie krąży mi tlen, pozbawiając jedynej możliwości skończenia ze sobą.

Odchylam głowę do tyłu i czuję, jak ziemia pode mną zaczyna drżeć. Zamykam oczy, przygotowując się na to, co za chwilę się wydarzy, co zawsze się dzieje. Wielka fala zubożenia uderza we mnie i porywa mnie w swe objęcia, niosąc błogie ukojenie; nadchodzi chwilowe wytchnienie przed kolejną, dokładnie tak samo wyglądającą rundą.

## Heidi

– Wiesz co, Peter? – skamle żałośnie do kierowcy miejskiego autobusu, który codziennie dowozi mnie osiem kilometrów do pracy. – Życie jest niesprawiedliwe. Jestem za bogata na pomoc socjalną, a za biedna, by godnie żyć. Do bani – fukam, dając się jak małe dziecko.

Moją wypowiedź mężczyzna kwituje jedynie pobłażliwym uśmiechem.

– Bardziej niż brakiem pieniędzy, martwiłbym się brakiem mózgu – zauważa, zmieniając bieg i skręcając na przedostatni przystanek na mojej trasie.

– Mówiłam już, że powinieneś pomyśleć o pracy w telefonie zaufania? – zauważam z przekąsem. – Twoja umiejętność pocieszania jest wprost powalająca. Od razu mi raźniej.

– Przerabialiśmy to już tysiące razy, Batku. – W końcu zaszczyca mnie spojrzeniem. – Gdybyś nie zbierała na tę głupią operację, żyłabyś jak człowiek, a nie niewolnik w domu Batiatusa – odnosi się do swojego ulubionego serialu „Spartakus”.

– To nie jest głupia operacja. – Obrażam się już nie na żarty. – To właśnie ona pozwoli mi żyć jak człowiek, a nie wybryk natury, wytykany palcami przez przechodniów!

Od urodzenia mam na twarzy znamię – ciemnoróżową plamę ciągnącą się od ucha do połowy policzka, kształtem przypominającą skrzydło motyla. Stąd ksywka Batek, od angielskiego butterfly. Tylko Peterowi pozwalam tak na siebie mówić. I tylko z nim potrafię mówić o tym otwarciu.

– Jest głupia, choć nawet nie w połowie tak głupia jak ty. – Gdy zauważa, że przekroczył już granicę mojej tolerancji na sarkazm, dodaje: – Ponieważ jesteś piękna

taka jaka jesteś. To znamię cię nie szpeci, ono czyni cię wyjątkową.

– Pierdzielenie o szopenie – pry cham naburmuszona. – Łatwo mówić o tym piękniświ, który dorabia sobie po pracy jako model.

– Po pierwsze: wiesz doskonale, że zawsze jestem do bólu szczery, a po drugie: jeśli myślisz, że piękna buźka to takie błogosławieństwo, przyjdź kiedyś na jeden z castingów dla modeli czy do reklamy. Ilość sekspropozycji od spoconych i łysiejących fajfusów, z których muszę się zgrabnie wymiksowywać, przyprawiłaby cię o mdłości.

– Okej, niech ci będzie. Ale zapewnienie o mojej urodzie z twoich ust się nie liczy.

– Auć.

– Wiesz, o co mi chodzi! Nie o to, że masz zły gust, tylko o to, że jest... no wiesz... bez seksualnego kontekstu.

– Mimo iż nie jestem hetero, zapewniam, że żaden mężczyzna nie odmówiłby ci małego seks sparingu w łóżku, tylko dlatego, że masz urocze znamię na policzku.

– Ale mi nie chodzi tylko o seks. Od tego mam wibrator – informuję go i natychmiast zostaję „wyprychana” przez starszą kobietę mijającą mnie w drodze do wyjścia.

– Szanuj się, dziewczyno.

Palę cegłę, odruchowo przesłaniam włosami prawą połowę twarzy, i ściszam głos do szeptu.

– Przez ciebie muszę gadać takie rzeczy w cholernym autobusie! Nie masz już dla mnie czasu.

– I to pewnie przez to ten spadek nastroju.

Przyjaźnię się z Peterem od liceum. Tam oboje byliśmy dziwadłami. Ja przez „uroczy” kleks na twarzy, on – swoją orientację, której postanowił nigdy nie ukrywać. Szczęście w nieszczęściu, że prócz odstawania od reszty, łączyła nas też niezwykle nić porozumienia. Od razu polubiłam jego żarty, poczucie humoru, podejście do życia, silną psychikę i jego wadę wymowy. W połączeniu z bardzo ekspresyjną mimiką twarzy, w trzy sekundy jest w stanie wywołać uśmiech na mojej twarzy. Potrafił to zrobić nawet w dzień pogrzebu mojej babci.

– Na pewno przez to – zgadzam się. – Kiedy w końcu spotkamy się u mnie, przedawkujemy fondue i tanie wino, a potem urządzimy konkurs: kto zwymiotuje kulturalnie do kibelka, a kto jak przegryw do kwiatków w salonie.

– A wiesz, jak mi zakwitł ten kwiat od mamy, po tym, jak do niego narzygałaś? Chyba potrzebował kwaśnego podłoża – dodaje ze śmiechem.

– Fuj.

– Okej, w tym tygodniu spróbuję wygospodarować jakiś wieczór i skoczmy na Marktgasse. Pogapimy się na fontanny.

– Zgoda! Ale na wszelki wypadek, wezmę piersiówkę.

– Jesteś niemożliwa – kwituje przyjaciel, zatrzymując się na moim przystanku nieopodal gabinetu fizjoterapii, w którym pracuję.

– Wiesz, jak to jest z brzydociami, muszą nadrabiać charyzmą. – Cmokam go na pożegnanie i wysiadam z autobusu.

Szybkim marszem pokonuję trzy przecznice i kupuję po drodze kawę dla siebie i Clarie, jednej z moich koleżanek, z którą mam w gabinecie najlepszy kontakt.

– Heidi, pacjentka już na ciebie czeka – dostaję od niej informację, gdy tylko przekraczam próg.

Spoglądam na zegar, który wskazuje dziesięć minut przed czasem, wzdycham ciężko i podaję jej latte z wanilią.

– A mówią, że tylko matki nie wiedzą, jak smakuje ciepła kawa – marudzę pod nosem i idę się przebrać.

Wkładam fartuch i związuję w koński ogon włosy w kolorze miodowego blondu, zostawiając tylko długą grzywkę. Zaczęsuje ją na prawą stronę i zakrywam w ten sposób znamię. Czuję wielki dyskomfort, gdy ktokolwiek skupia na nim wzrok. W mojej głowie niczym mrówki rozprzestrzeniają się wizje tego, co ten ktoś o nim myśli, nakręcając w ten sposób spirale negatywnej energii. Staję się drażliwa, rozstrojona, a w skrajnych przypadkach zaczynam się jąkać. Najczęściej jednak nadaję jak katarynka.

– Dzień dobry, pani Schulz – witam swoją pacjentkę, przyklejając do twarzy pogodny uśmiech. – Jak dziś samopoczucie?

– Kochanieńka, mam nadzieję, że się nie gniewasz. Przyszłam dziś wcześniej, ponieważ mój syn ma przedstawienie w szkole i nie chcę się spóźnić. Wybaczysz, prawda?

I jak ja niby miałabym w tej sytuacji mieć pretensje? Wyszłabym na totalną zołzę, pomimo iż to nie ja wydłużam komuś czas pracy...

– Jasne, że nie, proszę się nie przejmować – odpowiadam, rozgrzewam ręce i zaczynam ćwiczenia.

Standardowo rozpoczynam od mobilizacji ślizgów stawowych, przygotowując pacjentkę do dalszych ćwiczeń. Potem wykonuję masaż rozluźniający i poprawiający ukrwienie oraz elastyczność tkanek w obkurczonym stawie łokciowym.

– Co słyhać u małego Maxa? – Specjalnie wchodzę na temat jej dziecka. Wiem, jak bardzo się wtedy rozluźnia, a ja czuję dużo mniejszy opór przy pracy z jej stawem.

Kobieta od razu się ożywia, a ja wykonuję kilka ćwiczeń biernych w odciążeniu przy kozetce. Potem przechodzę do relaksacji poizometrycznej. Uwielbiam tę metodę, ponieważ nie wkracza ona w strefę bólową pacjenta, w przeciwieństwie do ćwiczeń regresyjnych. Nie tylko przynosi niesamowite efekty, to jeszcze pacjent nie ucieka na drugą stronę ulicy, gdy przez przypadek spotka nas na mieście.

Niecałą godzinę później idę do mikrofalówki, by podgrzać moją kawę. Nie cierpię pić zimnej, a bez kofeiny nie przeżyję.

– Heidi, mogę cię prosić na chwilę? – W pół drogi zatrzymuje mnie Jonas, fizjoterapeuta, który pracuje z nami najkrócej.

– Co tam? – Siłą powstrzymuję się przed przewróceniem oczami i odwracam w jego stronę z przyjacielskim uśmiechem. To nie tak, że go nie lubię. Chłopak jest

naprawdę miły, ale za Boga nie potrafi poradzić sobie z upierdliwymi pacjentami. Jak znam życie, woła mnie na salę ogólną, do tego krnąbrnego pacjenta...

– Chodzi o pana Leitta...

A nie mówiłam?

Zerkam na kawę i z żalem odkładam ją na stolik, a potem idę pomóc koledze.

Gdy moje oczy rejestrują, co ten facet wyczynia, aż krew się we mnie zagotowuje. Omiatam jeszcze wszystkich pacjentów, sprawdzając, czy ćwiczą prawidłowo, nim podchodzę do naszego nadwornego kulturysty.

Gdy mnie dostrzeża, nawet nie stara się ukryć irytacji.

– Panie Leitt, coś mi się zdaje, że musimy zmniejszyć opór – zaczynam od delikatnej sugestii. – Męczy się pan dużo bardziej niż powinien.

– Nie. Jest dobrze – zaprzecza i ćwiczy dalej, a ja zauważam jak kompensuje sobie ruchy inną grupą mięśniową.

Jego zaciekły wyraz twarzy oraz zerkanie na innych, by nie wypaść przy nich gorzej, sprawiają, że mam ochotę pacnąć go mocno w czoło.

– Proszę posłuchać: to nie jest siłownia, gdzie wyciska pan, ile wlezie. Tu nie liczy się też ilość powtórzeń, a ich jakość, rozumie pan? Po pierwsze utrwała pan nieprawidłowy wzorzec ruchu, a po drugie może pan doprowadzić w ten sposób do wtórnego uszkodzenia tkanek miękkich, tego pan chce?

– Chcę jak najszybciej wrócić do zdrowia.

– I wróci pan. Jeśli tylko mi zaufa i przestanie zachowywać się jak hardcorowy koks robiący tutaj masę, jasne? Naszym celem nie jest rzeźba na chałkę, a poprawa funkcjonowania pana aparatu ruchu.

– Rzeźba na chałkę?

– No wie pan... Na tę bułkę – wyjaśniam, unosząc dłonie i pokazując nadmuchane mięśnie, które przecież naprawdę ją przypominają!

Facet załapuje i zaczyna śmiać się na głos.

– Pani Seiler, chyba pozostanę tym krnąbrnym pacjentem tylko po to, by przychodziła pani do mnie i serwowała mi te swoje zajebiste porównania!

Słowo daję, czasem czuję jakbym pracowała w przedszkolu...

– Heidi, dzwonił pan Chao. – Do sali wchodzi nagle Clarie. – Pytał, czy mogłabyś dziś przyjść do niego z wizytą domową, bo od rana kiepsko się czuje.

Marszczę brwi, czując ukłucie niepokoju. Pana Chao znam od niemal roku. Jest moim ulubionym pacjentem i zaraz obok Petera ulubionym człowiekiem za światem. Jest jak mistrz Shifu i Oogway w jednym. Kiedy trzeba, udzieli cennej lekcji oraz wsparcia, ale nie zawaha się też powiedzieć kilku ostrych słów prawdy w odpowiedzi na bezsensowne biadolenie. Nie zdarza mu się narzekać, więc nie zwlekam z decyzją.

– Ogarniesz za mnie zabiegi fizykalne? Mam złe przeczucia...

– Jasne, leć! – Klepie mnie w ramię i posyła pokrępiający uśmiech.

Łapię pierwszy lepszy autobus, po drodze zastanawiając się, co takiego dolega panu Yaguiemu. Nigdy w życiu nie prosił o wizytę domową. Musi się naprawdę



kiepsko czuć i mam nadzieję, że to nic poważnego!

Autobus wlecze się w nieskończoność, a ja mimowolnie przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie w gabinecie.

\*\*\*

Jak zwykle przy rozpoczynaniu pracy z nowym pacjentem byłam strasznie spięta, ponieważ moment poznania nowych ludzi od zawsze wiąże się u mnie z ogromnym dyskomfortem. Wiem, że jestem oceniana i szufladkowana. Część ludzi gapi się na znamię bez najmniejszego skrępowania, część robi pełną współczucia minę, a jeszcze inni zaczynają o nie wypytywać, co jest dla mnie najgorsze. W jego przypadku było zupełnie inaczej.

– Dzień dobry, jestem Heidi Seiler i przez kilka tygodni będziemy spotykać się regularnie – oznajmiłam wesołym tonem i z mocno bijącym sercem podeszłam bliżej.

– Jeszcze nigdy tak szybko nie poderwałam kobiety. – Uśmiechnął się do mnie tak, jakby mój widok go wzruszył. – Ten dzień od razu stał się lepszy.

Normalnie pomyślałabym, że to typ pacjenta, który nazywałyśmy z Clarie „erotoman-gawędziarz”, ale tutaj nie miałam najmniejszych wątpliwości, że chodzi o coś innego. Byłam pewna, że specjalnie wybrał taką formę konwersacji, która jest mi znajoma, bym poczuła się swobodniej. Miał rację. Męska część pacjentów ciągle skutecznie niezobowiązujący flirt do swojej terapeutki, więc doskonale to znałam i miałam wypracowaną odpowiedź.

– Oj, proszę nie chwalić dnia przed zachodem słońca. – Rozluźniłam się nieco. – Już nie raz słyszałam wycofywanie się z męskiej deklaracji miłości. Wystarczy zwykły masaż z wykorzystaniem punktów spustowych, a z anioła staje się sadystyczną wiedźmą.

– Fakt, że w całej hodowli trafiają się zgniłe owoce, nie powinien sprawiać, że przestanie pani próbować wszystkich pozostałych – oświadczył zagadkowo, choć tak naprawdę morał był dosyć czytelny, a dwuznaczność aż raziała po oczach.

Na chwilę się zawahałam, jednak ciepło bijące od tego człowieka i jego pełen czułości wzrok spowodowały jakieś pęknięcie w mojej skorupie. Poczułam się, jakbym rozmawiała z przyjacielem, który tak zwyczajnie się o mnie troszczy.

– Myślę, że nie powinien, aczkolwiek na jakiś czas psuje apetyt, nieprawdaż? – odrzekłam z nutką goryczy w głosie.

Każda kobieta ma kompleksy; zbyt pulchne uda, za dużo cellulitu, zbyt krótkie nogi, za małe piersi... Ale co w sytuacji, gdy kompleksem jest cała twarz? To, co tak naprawdę identyfikuje każdego człowieka? Co odróżnia go od innych? Po czym się go rozpoznaje, co jest jego wizytówką? Coś, na co każdy patrzy w pierwszej kolejności i zwraca największą uwagę?

Istnieją entuzjaści małych biustów i wielkich tyłków. Są zwolennicy kobiet niskich i wysokich, szczupłych i tych przy kości. Ale czy istnieją ludzie, dla których oszpecona twarz może być zaletą? Atutem? Walorem?

Nie sądzę...

Na chwilę zapadła ciężka cisza, którą postanowiłam czym prędzej przerwać

energicznym kłaśnięciem w dłonie i zarządzeniem brania się do pracy.

– Panno Seiler, czy mogę zwracać się do ciebie po imieniu? – zapytał nagle, gdy skończyłam go masować. – Mam ci coś ważnego do powiedzenia i głupio byłoby mówić na per „pani”.

– Jasne – odparłam lekko speszona.

– Chcę ci bardzo podziękować. I choć masz cudowne i przynoszące niesamowitą ulgę ręce, to nie za nie... – Podszedł do mnie i chwycił mnie za ramiona, a ja momentalnie pobladałam, ponieważ znajdował się zbyt blisko mojej twarzy.

Stanowczo. Zbyt. Blisko.

Syrena alarmowa w mojej głowie zawyła głośno, bijąc na alarm. Czułam, jak miękną mi kolana, a po kręgosłupie spływa zimny pot. W jego oczach, niepodziwianie zalśniły łzy. Patrzył na mnie z taką tęsknotą, jakby właśnie ujrzał niewidzianego dawno przyjaciela.

– Masz naczyniaka płaskiego na twarzy – oznajmił i odsunął mi włosy z policzka, odstawiając w ten sposób bliźnę.

Zamarłam, umarłam, wszystko wokół się rozmazało. Byłam krok od zawatu.

– Takiego samego miała moja zmarła żona. I dokładnie tak samo uroczo się go wstydzila. Proszę cię, posłuchaj mnie teraz, bo to bardzo ważne. – Spojrzał mi głęboko w oczy, i wyznał: – Nigdy nie byłem dobry w prawieniu komplementów i mówieniu tego, co inni pragną usłyszeć. – Zacisnął dłonie na mojej skórze. – Więc powiem ci dokładnie to samo, co usłyszała ode mnie moja żona. A potem trwała przy mnie pięćdziesiąt jeden lat swojego życia. – Zrobił krótką pauzę, sprawdzając poziom mojego skupienia. – Róża jest piękniejsza niż kapusta, lecz zupa z róży jest gorsza niż kapuśniak.

Zamrugalam zaskoczona i pozwoliłam, by moja szczeka opadła samoistnie w dół. Moją głowę ogarnął dziwny error. Nie byłam pewna, czy słyszałam to, co słyszałam, i czy gość właśnie nazwał mnie kapustą. Lub zupą...

Obydwie opcje były dla mnie na tyle zadziwiające, że zadałam niezwykle przenikliwe pytanie:

– Hę?

– Róża jest piękna, ale daje nam tylko chwilową przyjemność. W dodatku bardzo przyziemną, ulotną, nieistotną na przestrzeni życia. Nie potrafi nas nakarmić, rozgrzać, dać sił, nasycić. Jej wartość jest niska, nie sięga fundamentów. Nie zapewni wsparcia w trudnych chwilach, jej płatki opadną, pozostawiając po sobie tylko wspomnienie. Kapusta natomiast, mała, okrągła, na pozór zwyczajna, daje nam największą siłę, dzięki której mamy moc, by przenosić góry. To ona napętnia nasz brzuch, zapewnia ciepło, które ogrzewa nas od środka, czyli tam, gdzie tego najbardziej potrzebujemy. Ci, którzy wolą patrzeć oczami, a nie duszą, nigdy nie ujrzą tego, co prawdziwie wartościowe. – Jego słowa poczyniły spustoszenie w moim umyśle. A przynajmniej w tamtym momencie poczułam się jak małe dziecko słuchające z fascynacją rodziców, których uważa za bogów. – Bo piękno kobiety nie tkwi w jej twarzy, rozumiesz mnie, drogie dziecko?

Wzięłam głęboki oddech.

– Rozumiem, choć trudno o tym pamiętać, gdy jest się wytykanym palcami.

– Pokazując palcem, trzema wskazują na siebie. – Zaskoczył mnie odpowiedzią trafiającą w samo sedno.

– Fakt – potwierdziłam, jednak zaraz potem znów zaczęłam marudzić: – To jednak nie jest takie proste. Nie da się ot tak przestać przejmować opinią innych, ich komentarzami i wścibskimi, lub co gorsza, współczującymi spojrzeniami. To trudne. Bardzo trudne...

– Wiem – obdarzył mnie pełnym zrozumienia spojrzeniem, a potem spokojnie się uśmiechnął. – Ale ten, kto przeniósł górę, zaczął od małych kamyczków, prawda?

Na tego człowieka nie było mocnych. Na jego bezpośredniość, prostotę, mądrość, spokój. To coś, co od początku przyciągnęło mnie do niego jak ćmę do ognia. Potrzebowałam tego ciepła. Dawało mi poczucie bezpieczeństwa.

Nasza znajomość bardzo szybko zmieniła się w przyjaźń. Ja nie miałam dziadka, a on wnuczki; myślę że doskonale uzupełnialiśmy tę tęsknotę za czymś, czego nigdy nie było nam dane doświadczyć.

To dlatego tak zmartwił mnie jego telefon.

\*\*\*

Ze wspomnień wyrywa mnie dopiero widok znajomego przystanku. Wsiadam przy Pestalozzistrasse i skręcam w prawo, w Lenzweg. Mijam salon fryzjerski i po kilkudziesięciu kolejnych krokach pukam do drzwi domku jednorodzinne go pana Chao.

Otwiera mi po jakichś trzech minutach. Od razu widać, że coś mu dolega. Jest blady, ma sińce pod oczami i ból wypisany na twarzy.

– Heidi, jak miło, że jednak przyszyłaś. – Mimo widocznej niedyspozycji zachowuje pogodny wyraz twarzy.

– Źle pan wygląda – stwierdzam bez ogródek. – Co się dzieje?

– Nic takiego, moje dziecko, tylko trochę boli mnie głowa.

– Jadł pan coś dziś? – pytam z troską, wchodząc z nim do środka.

Zauważam, że na moment przystanął, jakby zapomniał, gdzie ma iść. Chwytam go pod ramię i pomagam dojść do fotela, na który opada bez sił. Przez chwilę bacznie mu się przyglądam, zachodząc w głowę, jak mogę mu pomóc. Sprawdzam, czy nie ma gorączki, a potem mierzę ciśnienie. Jest troszkę niższe, lecz jeszcze w granicach normy.

– Może dam panu tabletkę przeciwbólową. Brał pan już jakąś?

– Nie... – Milknie na chwilę. – Pamięć... tam.

Rozglądam się wokół, próbując zdecydować, co ja mam teraz u licha zrobić, i wtedy mój wzrok pada na butelkę wody. Idę do kuchni, by napełnić nią szklanę.

– Musi się pan napić, może jest pan odwodniony i stąd to osłabienie. Osoby w pana wieku powinny dużo pić, a często uzupełniają płyny zdecydowanie za rzadko.

– Wo... wy... od... wy... – usiłuje mi powiedzieć – wo... dywo. Odowody...

– Panie Chao! – Natychmiast do niego podbiegam. – Co się dzieje? Dobrze się pan czuje?

– Dy... wo... – jąka się, macha dłonią, próbując sobie pomóc, aż w końcu rezygnuje i zwiesza bezwiednie głowę.

Oblewa mnie zimny pot.

– Panie Chao!

Ujmuję w dłonie jego twarz i z przerażeniem obserwuję, jak kąciki jego ust opadają, a w następnej kolejności całe jego wargi wykrzywają się w jedną stronę.

– Boże drogi, pan ma udar! – Z mojej krtani wyrzywa się krzyk przerażenia.

Na kilka sekund panika zakleszcza mnie w bezruchu, lecz potem działam jak w amoku. Podbiegam do torebki, wydaję telefon i dzwonię po karetkę. Postępuję według wskazówek dyspozytora i czekam na przybycie ekipy medycznej.

Mijają wieki, nim się pojawiają, choć może to było zaledwie kilkanaście minut. Czas jest bardzo dziwnym tworem; w chwilach radości biegnie z prędkością sprintera, w momentach trwogi i beznadziei wlecze się jak żółw.

Odsuwam się na bok, pozwalając ratownikom działać. Adrenalina trzyma mnie nadal w pionie, choć tak naprawdę mam ochotę położyć się i rozplakać.

Po potwierdzeniu diagnozy pan Chao ląduje na noszach, a potem zostaje sprawnie przetransportowany do karetki. Ledwie rejestruję, że jeden z medyków coś do mnie mówi:

– Pacjent wskazał panią do kontaktu i udzielania wszelkich informacji o swym stanie zdrowia. Jest pani jego krewną?

– Tak – odpowiadam, przenosząc na niego swój wzrok.

– Zabieramy go do Spital Tiefenau.

– Proszę mi powiedzieć, że on przeżyje... – Łapię go mocno za ramię.

– Dobrze pani wie, że nie mogę obiecać niczego podobnego. – Jego wzrok jest poważny i współczujący. – Mogę tylko zapewnić, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by mu pomóc. A teraz przepraszam. – Zdejmuje z siebie swoją dłoń. – Musimy już ruszać.

Nie zatrzymuję go. Wiem, że liczy się każda sekunda. Obserwuję, jak wsiada do pojazdu, który chwilę później włącza się do ruchu w akompaniamencie tego okropnego, i przyprawiającego o dreszcze dźwięku syreny karetki pogotowia.

\*\*\*

– Clarie, pan Chao miał udar. Jestem w szpitalu i czekam na jakieś wieści od lekarza. Błagam, weź moich pacjentów, ja dziś już nie dam rady pracować! – Pocieram nerwowo skroń i przekładam telefon do drugiego ucha.

– O matko, to straszne! Oczywiście, o nic się nie martw. Zajmę się pacjentami, a ty odezwijs się, jak tylko czegoś się dowiesz – prosi przepętnionym troską głosem. Nic dziwnego; wszyscy lubią pana Chao. – Będę czekać!

– Jasne, odezwę się, gdy tylko czegokolwiek się dowiem – zapewniam i kątem oka dostrzegam lekarza zmierzającego w moim kierunku. – Muszę kończyć, pa.

– Naciskam czerwoną słuchawkę.

– Pani Heidi Seiler?

– Tak.

– Pan Chao przeszedł udar. Na szczęście była pani w pobliżu, ponieważ w tym przypadku liczy się jak najszybsza reakcja. Niestety jednak w wyniku powikłań musieliśmy wprowadzić go w stan śpiączki farmakologicznej. Teraz leży na oddziale intensywnej opieki medycznej.

Czasem wstajemy rano, myśląc, że największym problemem świata jest „płomień” na twarzy oraz to, jak uzbierać na absurdalnie drogą, ultranowoczesną operację, będącą dodatkowo w fazie testów w Ameryce, by się go pozbyć, a kończymy dzień, modląc się do Boga o to, by nie odbierał nam człowieka, który znaczy dla nas tak wiele.

Ciemnozielony kolor ścian w połączeniu z mnóstwem pikających aparatów jest strasznie przygnębiający. Na sali leży jeszcze dwóch pacjentów, lecz ja instynktownie wiem, gdzie skierować wzrok. Jakby pan Chao swoją energią przywoływał mnie, nawet będąc nieprzytomnym. W szpitalnym łóżku jego kruche i niewielkie ciało wydaje się jeszcze drobniejsze. Podchodzę do niego, walcząc ze wzbierającymi łzami, i od razu chwytam go za rękę.

– Panie Chao... – Staram się nadać głosowi lekką barwę. Wiem doskonale, że pacjenci w śpiączce farmakologicznej czasem słyszą, co się do nich mówi, a przynajmniej ja mam taką nadzieję. – Chyba nie byłam tak strasznie sadystyczną wiedźmą, że postanowił pan uciec przede mną aż tutaj? – Staram się wykrzesać z siebie uśmiech. – Bo jeśli tak, to jak pan widzi, nie udało się. Jestem jak wrzód na tyłku.

Staram się być silna, ale emocje zaczynają mnie dusić.

– Pamięta pan, jak mi mówił, że aby być mądrym, nie należy mieć wielu ksiąg, bo osioł dźwigający na grzbiecie wiele ksiąg nie staje się przez to mądrzejszy? – pytam, ze wszystkich sił starając się zapanować nad drżeniem głosu. – Ja jestem tym osłem. Bez pana jestem osłem. Nie jestem jeszcze gotowa, by pan umierał, jasne? – Zaczynam pokrzykiwać, czując zbliżającą się histerię.

Biorę kilka uspokajających oddechów i znów się odzywam:

– Ufam, że będzie pan na tyle mądry, by nie zabierać się z tego świata bez pożegnania ze mną, bo w przeciwnym razie naślę na pana w zaświatach moją babkę. A ta to dopiero potrafiła dać człowiekowi do wiwatu, proszę mi wierzyć. Miała na imię Sonia... – Zaczynam paplać bez większego sensu, byle tylko odwrócić uwagę od ataku paniki, który dusi mnie w gardle. Ten człowiek musi wiedzieć, że tu jestem, i nie zamierzam pozwolić na to, by się poddał.

## Gabriel

Z nadludzkim wysiłkiem otwieram ciężkie powieki. Potem znów je zamykam i jeszcze

raz otwieram. Bezsensowne mruganie stało się moją fiksacją. Jedyнным zegarem odmierającym czas w tej czarnej głuszy. Choć niejednokrotnie mam wrażenie, że nawet on tutaj umarł.

Nie mam już sił, by biec; nie potrafię wykrzesać z siebie ani grama energii. Boli mnie ciało, moja psychika jest na skraju wyczerpania, a dusza umiera w męczarniach, jakby rozrywała je na strzępy jakaś niewidzialna energia.

Podobno jeśli utrzymuje się nadzieję przy życiu, ona odwdzięcza ci się tym samym. A co w przypadku, gdy pragnie się jej śmierci? Gdy pragnie się śmierci samego siebie?

Nadzieja to suka. Bez niej byłoby prościej. Nie miałbym na przykład tej fatamorgany, którą jest ten różowy, ledwie zauważalny różowy płomycek, który pali się wesoło i zdaje się robić to do mnie... Miga, blednie i po kilku sekundach zostaje pochłonięty przez mrok.

Przechylam głowę w bok, wpatrując się w miejsce, z którego się ulotnił. Wytężam wzrok i dostrzegam jeszcze delikatne, ledwie dostrzegalne pyłki, jakie po sobie pozostawił.

Czy właśnie staczam się w otchłań szaleństwa? Czy tak wygląda obłąd? Bo jeśli tak, chcę go doświadczyć. Chcę, by wziął mnie w swoje objęcia i nigdy już z nich nie wypuszczał. Chcę jeszcze raz zobaczyć tę poświatę. Jeszcze tylko jeden raz!

Jeśli ujrzę ją jeszcze tylko raz, przysięgam, że podniosę się z tych klęczek. Wstanę i znów będę biegł. Jeśli będzie trzeba, okrążę pierdolony glob, by za to podziękować. A potem drugi raz, by zasłużyć na powtórkę!

Moje serce przyspiesza biegu. Słyszę dźwięk jego bicia, gdy wpatruję się w miejsce, które przed chwilą przecięło odmęty mroku. Dudni mi w piersi jak werble przed jakimś wielkim meczem. Krew na nowo zaczyna mi płynąć w żyłach rwącym strumieniem. Jeszcze tylko chwila, jeszcze kilka sekund i pojawi się w nich także nadzieja. Ta sama, której jeszcze przed chwilą śmierci pragnąłem. Jeśli tylko ta luna na nowo pokona czerni...

Dwieście czterdzieste pierwsze mrugnięcie, dwieście czterdzieste drugie, dwieście czterdzieste trzecie... To na nic.

Dwieście czterdzieste czwarte mrugnięcie, dwieście czterdzieste piąte...

Milknę w końcu.

Zamykam oczy, przelękając gorzkie rozczarowanie. Nadzieja to suka, lecz złudna nadzieja jest jeszcze gorsza niż śmierć.

Z mojej piersi wydobywa się udręczony, pełen niepisanego bólu jęk rozpacz. Czuję, jakby dno, które okupuje moje bezwładne ciało od setek lat, otwarło właśnie bramy piekieł i straciło mnie kilka poziomów głębiej. To dlatego należy dusić ją w zarodku. Dlatego nie należy podlewać jej najdrobniejszą kroplą wody...

Jestem szaleńcem. To już się wydarzyło, skoro odważyłem się uwierzyć, że ktoś lub coś w końcu wyciągnęło do mnie dłoń, by pomóc mi się stąd wyrwać.

Moje spierzchnięte usta wyginają się w coś na kształt uśmiechu.

Zawsze byłeś popieprzony, sądziłeś, że w tym piekle to minie? Wyginam

usta w gorzkim uśmiechu i otwieram oczy. Mój uśmiech natychmiast blednie, a serce wykonuje gwałtowne salto.

Znów go widzę, lecz tym razem jest większy, wyraźniejszy i piękniejszy. Znajduje się kilka centymetrów od mojej twarzy i pyta, czy tęsknięm...

# DWA

## Heidi

Cieszę się, że już z nim lepiej – podsumowuje z uśmiechem Peter, gdy w sobotni wieczór siedzimy na murku fontanny Kindlifresser na berneńskiej starówce. – I z tobą. – Trąca mnie łokciem.

Uśmiecham się melancholijnie. Ostatnie dni były ciężkie. Każdą wolną chwilę spędzałam przy łóżku pana Chao. Przychodziłam, przynosiłam kawę, rozsiadałam się wygodnie i opowiadałam, co u mnie słychać. Mówiłam o wszystkim i to w taki sposób, jakby mnie słyszał, pomimo iż odpowiadały mi jedynie dźwięki aparatów medycznych. Opowiadałam o pracy, przyjacielu, moich byłych, zakupach lub o tym, co zjem na kolację. Paplałam bez ustanku, robiąc przerwy wyłącznie na zaczerpnięcie powietrza. To pozwalało mi nie myśleć, że to mogą być nasze ostatnie wspólne chwile. Zwierzałam mu się ze wszystkiego, pokazując jak bardzo jestem bez niego zagubiona, bo wierzyłam, że wówczas nie zostawi mnie tu samej.

I udało się. Wczoraj wybudzili go ze śpiączki, a dziś rano zamieniliśmy ze sobą kilka słów.

– Czuję się tak, jakby z mojej klatki zszedł w końcu przerośnięty słoń z nadwagą, ciężką bliźniaczą i nieleczonym platfusem – wyznaje, zerkając na niego spod kaptura.

– On z pewnością poczuł podobną ulgę, że w końcu przestałaś tyle gadać – żartuje w swoim stylu, za co obrywa ode mnie po głowie.

– To było naprawdę przerażające – oznajmiam z powagą, unosząc twarz ku górze. – Czuć tę przytłaczającą bezradność. Patrzeć, jak życie kogoś tak wspaniałego gaśnie na twoich oczach. Gdy zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo go kochasz. Jak wiele cię nauczył, jak wielką wyrwę w twoim życiu po sobie pozostawi, odchodząc...

Czuję, jak łyzy zaczynają piec mnie w gardle. Czy to normalne, że aż tak się do niego przywiązałam?

– Wiesz, jaki jest fenomen dziadków? – Przyjaciel uśmiecha się czule. – Są na innym etapie życia niż wiecznie zapracowani rodzice. Nie gonią już za pieniądzem, mają więcej czasu i nie tylko słyszą, ale przede wszystkim słuchają tego, co do nich mówisz. I naprawdę ich to interesuje – mówi. – Przeżyli już wszystko i wiedzą, o co w tym życiu tak naprawdę chodzi. Nie próbują cię zmieniać na dziecko, jakie chcieliby mieć, nie przelewają na ciebie swych własnych ambicji, tylko akceptują cię w pełni taką,



jaką jesteś, i chcą się z tobą przyjaźnić.

Przez chwilę się nad tym zastanawiam i wychodzi na to, że Peter jak zwykle ma rację. Wiem też, że w dużym stopniu mówi teraz o sobie i swoich relacjach ze starszymi.

– Nie mówiłeś, że masz doktorat z psychologii – drwię z niego, zamiast powiedzieć to, co naprawdę myślę: że jest mądrzejszy, niż powinien być człowiek w jego wieku. I że bardzo go kocham.

– A ty z bycia jędzą. I to nie doktorat, a profesurę – odcina się z uśmiechem na ustach. – Jesteś jak ten, o tu. – Wskazuje palcem wysoką rzeźbę wodotrysku, na którym przycupnęliśmy.

– Przecież to ogr! – oburzam się. – I w dodatku zjadający dzieci!

– I to by się zgadzało. – Kiwa potakująco głową. – Ja niewinny i bezbronny, starający się wesprzeć cię, a ty okrutna bestia pożerająca mnie bez najmniejszego zawahania.

– Ale wiesz, że najpopularniejszą tezą powstania tej rzeźby jest chęć przestraszenia niegrzecznych, a nie niewinnych dzieci? – Teraz to ja unoszę brew.

– Też jest wiele, a moja teoria jest taka, że Hans Gieng musiał mieć nierówno pod kopułą, tworząc coś takiego – kończy tę wymianę zdań na skrytykowaniu twórcy rzeźby i chwyta mnie za rękę. – Zamiast pierdzielić bzdury na fontannie, lepiej się napierdzielić w klubie! Idziemy!

Śmieję się głośno, lecz wstaję i podążam za nim, ponieważ znów powiedział coś niebywale mądrego!

\*\*\*

Bardzo tego potrzebowałam! – wyznaję, starając się przekrzyczeć głośną muzykę. Odkładam opróżniony kieliszek na kontuar i wycieram usta w mało elegancki sposób.

– Bo Peter zawsze wie, czego potrzeba jego przyjaciółce – odpowiada. – Dlatego jest taki zajebisty – cieszy się.

Chwyta swój kieliszek z wódką, unosi w górę i krzyczy do niego:

– Ruchaj mnie! – Po czym wlewa palącą ciecz w gardło i krzywi z niesmakiem. – Wyśmienite. Jeszcze jedna kolejka i idziemy tańczyć!

Dudnienie basów dodaje mi energii; moje ciało poddaje się jego rytmowi, pozbywając się wszystkich stresów z ostatnich dni. Zamykam oczy i pozwalam, by dźwięki przepływały przeze mnie, niosąc błogie zapomnienie. Jest gorąco i tłoczno, lecz taki rodzaj tłumy zapewnia mi anonimowość, jakiej potrzebuję.

– O Boże, to Simon! – Moje bębenki zostają nagle zaatakowane ostrym piskiem podekscytowanego przyjaciela. – O tam! Przyszedł z całą ekipą T.SQUER! Chryste, zaraz dostanę zawału!

Chwilę trwa, nim załapuję, że mówi o facie, do którego ostatnio wzdycha.

– To ten wysoki z lokami jak Justin Timberlake?? – Przyglądam się facetowi

otoczonemu wianuszkami ludzi. Jego styl jest dość osobliwy: luźna, oversizowa koszula w szerokie pasy, wpuszczona do džinsów z wysokim stanem i okulary przeciwsłoneczne na głowie. Sprawia wrażenie gwiazdy, która zeszła ze sceny, by rozdać kilka autografów.

Facet ewidentnie wie, jak robić wokół siebie szum.

– Tak to on! Przyszli wszyscy! A ja wyglądam jak lump! Nie może mnie teraz zobaczyć! – Zaczyna panikować, chowając się za moimi plecami.

– Co ty gadasz! Ty nigdy nie wyglądasz źle. Nawet piżamy masz stylowe – wysmiewam go. – Już on prędzej wygląda, jakby ubierał go pradziadek wraz ze ślepcem!

– Heidi, błagam cię, zamilcz, bo bluźnisz. – Ton Petera faktycznie sprawia, że czuję, jakbym sprofanowała jakieś bóstwo.

– Mówię, co widzę. – Wzruszam ramionami. – Gdyby miał w ręku kubek, wrzuciłabym mu drobne, bo myślałabym, że mam do czynienia z nędzarzem zbierającym na chleb – dodaję.

– Dobra, zrobimy tak: odwrócisz się i zasłaniając mnie swoim ciałem, przejdziesz w stronę wyjścia ewakuacyjnego. Tylko tak, żeby cię nie zauważyli. Zaklinam cię!

Wywracam oczami, ponieważ nie rozumiem, skąd ta jego panika; w moim mniemaniu wygląda świetnie! Milion razy lepiej niż jego crush, jednak biorę pod uwagę fakt, że podążanie za trendami modowymi nigdy nie było moim hobby, więc mogę się mylić.

– Dobra, idziemy – oznajmiam i ruszamy przez parkiet w kierunku, który wskazał. Po kilku krokach zatrzymuje mnie czyjaś dłoń zaciskająca się mocno na moim ramieniu.

– Hej, mała, zatańczymy?

Odwracam się do mężczyzny i strzepuję jego dłoń.

– Nie – rzucam szorstko.

– Ale ja nie mówię o zwykłym tańcu... – oznajmia zagadkowo, na co mrużę podejrzliwie oczy. – Mówię o tańcu w poziomie – wypala, zagryzając dolną wargę. – Twoje ciało o to błaga. Widziałem, jak się poruszasz. Jakbyś nie miała w sobie kutasa od bardzo, bardzo dawna, a ja przybywam, by to zmienić.

Krew gęstnieje mi w żyłach.

– A ja odnoszę wrażenie, że przybywasz, by ktoś w końcu przeparkował ci nos – warczę, obrzucając go pełnym pogardy spojrzeniem. – Lub by zrobił ci z zębów czarno-białą klawiaturę muzyczną! – Rzucam mu się do tętnicy, nie zwracając uwagi na szarpiącego mnie za bluzkę Petera.

Mężczyźnie przede mną wyraźnie nie spodobała się moja odpowiedź, ponieważ zaciska usta w wąską linię i zaczyna przyglądać mi się uważniej. Na moment się spinam, ponieważ powróciła do mnie świadomość mojego wyglądu oraz tego, że wilgotność panująca w klubie posklejała mi kosmyki włosów, z całą pewnością odsłaniając bliznę na twarzy.

– Widziałaś się w lustrze, lolitko? – pyta ze wstrętem. – Na twoim miejscu byłbym wniebowzięty, że ktokolwiek zwraca na mnie uwagę, a nie zgrywał modelkę przebierającą w ofertach jak w ulęgałkach.

Nie odpowiadam, ponieważ cała buńczuczność wyparowuje ze mnie po tych słowach.

Moją krtań wypełnia znajomy balon, uniemożliwiając dalsze pyskówki.

– Tak myślałem – cieszy się blondyn. – Na twoje szczęście nie jestem pamiętliwy. Ani wybredny – dodaje, chwytając mnie za nadgarstek. – Pobawimy się w doktora. Albo lodziarnię.

– Puszczaj! – Staram się wyrywać mu dłoń, co nie przynosi skutku, a tylko na nowo go rozwściecza.

– Myślisz, że będę cię prosił? Pragniesz być zdobywana? – Jego twarz przybiera wyraz politowania przemieszanego z drwiną. – Nie z takim szpetnym ryjem, księżniczko Fiono. – Parska śmiechem. – To twoja ostatnia szansa na numerek.

– A twoja na zabranie łap – wybrzmiewa nagle w duecie.

Za mną, niczym wiking, wyrasta Peter, a z boku – jakiś obcy mężczyzna w garniturze. Jego spojrzenie ciska sztyletami. Kątem oka spostrzegam, że ludzie wokół zaczynają się nam przyglądać, przeczuwając grubą akcję.

Robi mi się słabo.

– Aha, już kumam. – Facet zerka to na jednego, to na drugiego, i uśmiecha się cwaniacko. – Chciałem położyć łapy na jakimś ściśle tajnym, rządowym eksperymencie medycznym, który wymknął się wam spod kontroli. Lub niebezpiecznym wybryku natury, który uciekł z klatki w cyrku? Bo słowo daję w...

Nie kończy. Resztę słów pochłania pięść mężczyzny w garniturze, która uderza go prosto w zęby. Ludzie odступują od nas na kilka kroków, wyjmując telefony komórkowe, a mnie zbiera się na wymioty. Obracam się, chcąc wniknąć w tłum, lecz odbijam się od jakiegoś człowieka.

Potem wszystko dzieje się jakby w przyspieszonym tempie, z którego mój mózg rejestruje tylko wycinki. Bójka, krew, bluzgi, ochrona, czyjeś ręce pchające mnie do wyjścia i w końcu chłód nocy, który na nowo pozwala mi swobodnie oddychać.

– Nie mówiłeś, że dziś tu będziesz, Kurt.

Dociera do mnie zadowolony głos mojego przyjaciela.

– Świętujemy kolejny sukces T.SQUER. Pozyskaliśmy zajebistego modela. Thomas od kilku lat jest jego fotografem i to on przekonał go do wstąpienia do naszej agencji. – Kurt obejmuje ramieniem człowieka w garniturze, który kilka minut temu stanął w mojej obronie.

A więc ma na imię Thomas.

Przyglądam się mężczyźnie dyskretnie. Jasne włosy elegancko zaczesane do tyłu, rzymski nos oraz pełne, mięsiste usta dają bardzo przyjemny dla oka efekt. Obserwuję, jak się uśmiecha, potakuje głową i zamiast odpowiedzieć, wsuwa ręce do kieszeni spodni od garnituru.

– Dzięki, że stanąłeś w obronie Heidi. – Peter poklepuje go bratersko po

ramieniu. – Tamten skurwiel prosił się o dostanie po gębie.

– Uważam, że jak na to, do czego się posunął i tak oberwał za słabo – odpowiada mężczyzna, przenosząc wzrok na mnie. Od intensywności tego spojrzenia robi mi się gorąco, a prawy policzek zaczyna pulsować wściekle, więc natychmiast spuszcza wzrok na buty, jakby miały moc uczynienia mnie niewidzialną.

– No cóż, trudno się nie zgodzić. Frajer miał tupet. Zawsze zastanawiało mnie, jakie matki wychowują swoich synów na fajfusów nieszanujących kobiet.

– Peter, czy to twoja dziewczyna? – Do rozmowy dołącza nagle czwarty głos.

Podnoszę wzrok i spostrzegam podchodzącego do nich Simona. Mój przyjaciel natychmiast blednie. Widać bardzo wyraźnie, jak mocno jest poruszony przybyciem do grupki mężczyzn swojej aktualnej miłości.

– Nie, to moja najlepsza przyjaciółka – odpowiada wysokim głosem, a mi zaczyna chcieć się śmiać.

– Widziałem cię ostatnio w agencji. Pracujesz tam? – Simon obdarza Petera przeciągłym, pełnym zainteresowania spojrzeniem.

– Czasem. Sporadycznie. Od czasu do czasu do czasu... Okazyjnie.

Robi mi się żal przyjaciela. Na co dzień taki zadziorny, pewny siebie i wyszczekany, a teraz wygląda jak zawstydzony chłopiec, który musi przedstawiać się na środku klasy. Mam ochotę podejść do niego i chwycić go za rękę, by dodać mu otuchy. A potem nabijać się z niego do końca jego życia!

– Z taką twarzą powinieneś być ich gwiazdą. – Simon ciągnie dalej swój mało subtelny podryw, na co Peter rumieni się jak pensjonarka. Widok mojego przyjaciela oblanego purpurą sprawia, że tym razem już nie wytrzymuję; wybucham stłumionym chichotem, który zwraca uwagę Thomasa.

– Dzięki... – Peter odpowiada mu zdawkowo i zaczyna kołysać się speszony na piętach. Przeciąga dłonią po włosach i dodaje: – Modeling to tylko część mojego życia, w sumie bardzo mała.

– Chętnie poznałbym tę większą część. – Jego rozmówca zawiesza aluzyjnie głos. – Może wrócimy do klubu i poznamy się lepiej?

Peter rzuca na mnie szybkie spojrzenie. Rozczuła mnie, że nawet zaaferowany flirtem z mężczyzną, do którego wzdycha od ponad roku, nie zapomina o mnie. Posyłam mu ciepły uśmiech i unoszę kciuk w górę, sygnalizując, że sobie poradzę, lecz to mu nie wystarcza.

– Thomas, zaopiekujesz się moją Heidi? – zwraca się do przystojniaka w garniturze.

– Oczywiście, z wielką przyjemnością – odpowiada tamten, po czym znów zaczyna przyglądać mi się w ten swój charakterystyczny, intensywny i pełen zaciekawienia sposób.

– Naprawdę, nie trzeba – staram się wymiksować. – Za piętnaście minut mam autobus, a przystanek jest kilka przecznic stąd.

Nie cierpię, gdy ktoś się nade mną lituje. Mam wrażenie, jakby ludzie robili

to ze względu na moją twarz, sądząc, że z takim wyglądem i tak mam w życiu wystarczająco przechlapane.

– Kilka przecnic to kawał drogi – informuje mnie mężczyzna z poważną miną. – Sytuacja w klubie powinna nauczyć cię, że do nieszczęścia wystarczy czasem jedna krótka chwila.

To mi przygadał...

Zagryzam wargę skonsternowana.

– Jeśli autobus odjeżdża za piętnaście minut, powinniśmy już ruszać. – Podchodzi bardzo blisko mnie i podaje mi ramię.

Serio?

Kto w dzisiejszych czasach podaje dziewczynie ramię?

– Idziemy? – Gestem zachęca mnie, bym je ujęła, co po chwili wahania robię.

Skoro Peter mu ufa oraz gość uratował mnie przed takim typem, nie mam powodu, by odtrącać jego pomoc.

\*\*\*

Noc jest piękna. Rozgwieżdzone niebo, światła przejeżdżających tramwajów oraz przydrożne latarnie odbijają się od brukowanej drogi, którą idziemy. Wokół nas słychać tętniące życiem miasto, które znam od urodzenia, i które z dnia na dzień coraz bardziej mnie męczy.

– O czym myślisz? – Po kilku minutach zgodnego milczenia, Thomas przerywa w końcu ciszę pomiędzy nami.

– O tym, że chętnie przeprowadziłabym się w jakieś spokojniejsze i mniej zaludnione miejsce – odpowiadam bez zastanowienia.

– Nie lubisz miasta?

– Nie lubię ludzi. – Decyduję się na brutalną prawdę.

– A ja uwielbiam – oznajmia z entuzjazmem. – Kocham poznawać nowych ludzi. Kocham różnorodność i oryginalność. Coś, co łamie stereotypy, jest niespotykane, wyjątkowe, jedyne w swoim rodzaju... – Kątem oka widzę jak mi się przygląda. – Jestem fotografem, zachwyca mnie inność.

Moje serce natychmiast przyspiesza biegu, ponieważ wiem, do czego zmierza.

– Wiem, że zabrzmi to strasznie żenująco i infantylnie, ale wiesz co? Walić to. – Zatrzymuje się nagle i obraca mnie przodem do siebie. – Jesteś piękna, wiesz? – Patrzy mi w oczy i niemal wprawia w stan przedzawałowy. – Jesteś piękna, i chciałbym uwiecznić twoją wyjątkowość na zdjęciach.

– Co?? – Natychmiast oblewa mnie zimny pot. Wrywam się mu i cofam o kilka kroków jak spłoszone zwierzę.

– Spokojnie, Heidi – Mężczyzna unosi ręce, chcąc pokazać, że nie ma złych zamiarów. – To była tylko propozycja, nie musisz się zgadzać – zapewnia gorliwie, lecz ja nadal pozostaję nieufna. – Proszę, nie denerwuj się. Przepraszam, nie powinienem

pytać. Jestem idiotą.

– Nie powinieneś – przyznaję po chwili. – Ale skoro masz tego świadomość, to idiotą już nie jesteś – dodaję już nieco bardziej rozluźniona.

Wiem, że moja reakcja jest mocno przesadzona, jednak po tej sytuacji w klubie poczułam się jak dziwoląg, który faktycznie uciekł komuś z klatki i trzeba mu pstryknąć parę fotek, a następnie wrzucić do social mediów, podbijając zasięgi do kilkudziesięciu milionów wyświetleń.

– Czyli mi wybaczasz? – Chwyta się za serce.

– Niech będzie moja strata – odpowiadam, udając wielką łaskawość. – Ale nie proponuj mi tego nigdy więcej.

– Obiecuję się już bardziej kontrolować – odpiera wymijająco, co nie uchodzi mojej uwadze.

– Czyli nie odpuszczisz?

– Kłamstwo ma krótkie nogi; myślę, że moja fiksacja na twoim punkcie szybko by je zdemaskowała – wyjawia z łobuzerskim uśmiechem.

– Znamy się dziesięć minut...

Czuję, jak kąciki unoszą mi się ku górze. Ten facet doskonale wie, jak podejść kobietę.

– Dziesięć minut to... poczekaj... – unosi palec ostrzegawczo – ...to jakieś bardzo dużo sekund, podczas których byłem w stanie sto razy zachwycić się twoim wyglądem.

– Jak widzę, kochasz matematykę, ale bez wzajemności – docinam mu żartobliwie, by pozbyć się tego uczucia skrępowania, gdy ktoś próbuje mnie komplementować. Nigdy bowiem nie byłam w stanie uwierzyć, że te komplementy są szczerze i komukolwiek mogą się podobać.

– Kocham matematykę, nawet znam kilka żartów. Wiesz, jak się nazywa twarz matematyki?

– Nie wiem – śmieję się bezwiednie.

– Oblicze – mówi, i gdyby to był film, w tym momencie puściliby cykanie świerszczy, bo żart jest tak kiepski, że aż boli.

– Błagam, poprzestańmy na tym jednym.

Parskam głośnym śmiechem, do którego za chwilę i on dołącza.

– Jesteś bez serca – mówi, nie przestając się śmiać. – Przy tobie czuję się jak niedorostek!

– A może pierwiastek! – Ja także nie umiem przestać.

– Pierwiosnek – dorzuca, walcząc z dzikim rechotem, i ociera łzy wierzchem dłoni.

– To będzie twoja ksywka! – decyduję. – Pierwiosnek!

– Właśnie wykastrowałaś mnie emocjonalnie – wyznaje, gdy powoli dochodzimy do siebie. – Przestałem czuć się mężczyzną.

– Na pewno nie jest tak źle.

– Jest dużo gorzej – zaznacza. – Ale jest dla mnie pewien ratunek...

– Niby jaki? – pytam podejrzliwie, przeczuwając kłopoty.

– Rehabilitacja.

– Potrzebujesz fizjoterapeutki? – Naigrywam się, usiłując podtrzymać tę wesołą i lekką atmosferę.

– To ty się musisz zrehabilitować, nie ja – Zatrzymuje się w pół kroku, przez co i ja muszę to zrobić.

– Umów się ze mną – rzuca mi prosto w twarz, kończąc już tę grę słów między nami. – Proszę, Heidi.

Gdy nie odpowiadam, przeciera dłonią twarz.

– Chryste, jeszcze nigdy tak długo nie musiałem przekonywać kobiety. – Uśmiecha się zachwycony. – Ale potrafię być bardzo uparty. Jeśli będzie trzeba, ukłękę i będę błagał, słowo daję. A jeśli to nie pomoże, będę błagał bardzo głośno, by tamci ludzie mnie słyszeli. – Wskazuje ręką grupkę imprezowiczów nieopodal przystanku. – I zgodzisz się pod presją. Lub z litości. Wszystko mi jedno!

Wpatruję się w jego oczy, w których migają wesołe ogniki, i kusi mnie, by się zgodzić.

– To nawet nie musi być randka. Po prostu chciałbym mieć możliwość lepiej cię poznać – oświadcza żarliwie. – Zwykła kawa, kolacja, drink, co tylko chcesz! – Wpatruje się we mnie z nadzieją. – Proszę.

Biję się z myślami, robiąc ekspresową listę za i przeciw takiego spotkania, ponieważ mimo tego, iż facet bardzo mi się podoba, mam wielki problem z zaufaniem mu i rozszyfrowaniem jego prawdziwych intencji.

Zwyczajnie nie potrafię uwierzyć, że dziewczyna taka jak ja naprawdę mogłaby się spodobać mężczyźnie takiemu jak on.

– Okej, dopięłaś swego, będę błagał – oznajmia dramatycznie i zaczyna przyklękiwać na jedno kolano.

Natychmiast go powstrzymuję.

– Dobra, niech ci będzie. – Przewracam oczami, demonstrując swoje niezadowolenie, choć tak naprawdę nadzieja w moim sercu na nowo zaczyna budzić się do życia.

*To będzie trudna walka – przewiduję w duchu, obserwując wybuch radości mężczyzny przede mną. – W zasadzie to chyba od początku skazana na porażkę...*